

OD REDAKCJI

PRZEKRACZANIE HORYZONTÓW A POEZJA

Poezja Zbigniewa Herberta, jak rzadko która, wywołuje pojęcie ethosu. Każdy, kto czytał *Raport z oblężonego Miasta* albo *Potęę smaku*, wie, że w utworach tych mieści się o wiele więcej niż zwykliśmy oczekiwać od przeżycia estetycznego, a więc od czegoś, co niesie ze sobą przyjemność i odprężenie, co koi harmonią, cieszy wdziękiem, pobudza wyobraźnię i ogólnie rzecz biorąc – pozwala poczuć się lepiej. Czytając Herberta odkrywamy często rezonującą w nas strunę zapomnianych lub zaniedbanych p o w i n n o ś c i. Słowa złożone przez poetę nie wpływają wcale kojąco na nasze samopoczucie. Reflektujemy przeżywanie piękna, lecz także skierowane do nas specyficzne wezwanie. Wywołuje to niepokój, jak zawsze, gdy mamy uczynić coś, czego dawno nie robiliśmy. Czytamy te strofy niepewni, czy jesteśmy w stanie sprostać stawianym w nich wymaganiom, a zarazem coraz pełniejsi przekonania, że musimy stanąć wobec nich twarzą w twarz. Może dlatego Andrzej Franaszek nazywa Herberta „poetą metafizycznego niepokoju”.

Potrzeba piękna jest zjawiskiem ogólnoludzkim i obecnym w kulturze różnych czasów oraz poziomów. Starożytni poprzez wzorzec aksjologiczny „kalokaghatía” wyrażali pogląd, iż czyn ludzki lub dzieło dobre moralnie – są zarazem piękne. Do dziś przekonanie to zawiera się w potocznym określeniu wysoko wartościującym z pewnością nie tylko w aspekcie estetycznym: „piękny człowiek”. Piękno wpływa na atmosferę współżycia między ludźmi, współtworzy ład kultury. „Muzyka łagodzi obyczaje” utrzymywał z uporem Jerzy Waldorff. Nasza zaś pluralistyczna epoka przyswoiła sobie maksymę klasyka – „Różnić się pięknie” – czyniąc z niej wyróżnik współczesnego ethosu. Współdziałanie moralne, a nawet religijne sztuki – szlachetnej muzyki, dobrego malarstwa czy słów pełnych istotnych znaczeń i związanych piękną formą – jest w stanie o d m i e n i ć s e r c e ludzkie. Przypomnijmy raz jeszcze nawrócenie Paula Claudela podczas mszy gregoriańskiej. Liturgia potrzebuje piękna, które nie zatrzymując uwagi na sobie otwiera duszę człowieka na to, co niewidzialne. Kard. Carlo M. Martini w tekście publikowanym w niniejszym numerze mówi

o „rytmach słów, ciszy, śpiewu, muzyki i gestów” składających się na „piękną celebrację” Mszy świętej.

Tkwiąca w nas niezmiennie potrzeba piękna odzywa się szczególnie głośno wtedy, gdy – przez kontrast – dostrzegamy wokół raczej przykłady brzydoty, nieforemności i nieładu. Tak jak teraz właśnie, gdy dziesięcioletnie przeistaczanie się kraju – gospodarcze, polityczne, kulturalne i obyczajowe – sprawiło, iż dany nam jest wszechobecny amalgamat wartości i antywartości, schludności i brudu, stałości i ruiny. Ulice, na których przepych świeżo odnowionych kamienic sąsiaduje z prowizorką bieda-sklepików stłoczonych w brudnych, pełnych wykrotów i śmieci podwórkach. Ubrania ludzi wypełniających ulice, sklepy i biura, ujednolicone w stylu i gatunku, odstręczają od patrzenia na odziane w nie postacie. Telewizja na stu kanałach atakuje nasze umysły syntetyczną szpetotą szmiry i powierzchowności. Po czasach aktów „pięknej odwagi” i altruizmu nadeszła epoka, w której – jak mówił sam Herbert – „wybuchła epidemia instynktu samozachowawczego”. Zalewa nas brzydota mowy, jaką ludzie komunikują się między sobą. Zdradza ona interesowność, zawiść, agresję albo bezmyślną obojętność będące częstym motywem dialogów. Odnosi się to zwłaszcza do języka polityków, a także przeważającej części dziennikarzy i publicystów politycznych. Czytając teksty, w których prosta teza propagandowa podana zostaje w otocze nic nie znaczących lub samo się znoszących wyrażeń oraz karykaturalnej gramatyki, lub słuchając ich, czujemy intuicyjnie, że za brzydotą języka ukrywają się brzydkie intencje lub czyny.

Na tym tle wszelkie przejawy piękna, urody czy wdzięku – zachowania, działania artystycznego lub jakiegoś innego przedsięwzięcia – nabierają szczególnego znaczenia, *n i e t y l k o* estetycznego. W świecie potężniejącej globalizacji, która coraz bardziej widocznie staje się nie tyle zapowiadany i oczekiwany ład pluralistycznym, co raczej kontrolowanym chaosem, nawet drobne akty obrony lub kreacji tego, co łączyło zawsze ludzi zaspokajając ich potrzebę piękna, nabiera wyższego sensu. Nie jest dziś mało – umieć się ze smakiem ubrać, zaśpiewać piosenkę dla samej przyjemności (nie w stadnym ryku biesiadnym), stosownie się zachować („znaleźć się”, jak mawiano) w każdej sytuacji czy wygłosić mowę jasną i poprawną polszczyzną. Te i tym podobne umiejętności lub talenty włączają się w odwieczny strumień sztuk, w szczególności sztuk pięknych, poprzez które zawsze wyrażała się część integralnej jedności tego, co ogólnoludzkie a zarazem indywidualnie osobowe.

Ranga sztuki, tak pomniejszana obecnie przez komercjalizację i ducha konkurencji z jednej strony, z drugiej zaś – przez tendencję do kulturowej unifikacji i technologiczne możliwości powielania – polega w istocie na walorze prawdziwościowym oraz moralnym. W świecie współczesnym istnieje wiele przykładów sztuki nieprawdziwej, złej i deprawującej. Jednak dzieła sztuki autentycznej dziś – jak i przed wiekami – odznaczają się owymi niekiedy trudno uchwytnymi rysami prawdy i dobra podanymi w formie zmysłowej, która nie tylko informu-

je, ale także – zachwyca. Dzięki autentycznemu dziełu sztuki człowiek – artysta albo odbiorca – t r a n s c e n d u j e brzydotę. Nie tylko tę rażącą nasze uczucia estetyczne, lecz również brzydotę intencji, przekonań oraz uczynków – tkwiącą w nas lub odczytywaną w innych.

Jak mówi znane powiedzenie filozofów-estetyków, „sztuka jeszcze nikogo nie zbawiła, jednak dobrze, jeżeli pamięta, że takie jest jej zadanie”. W pojęciu sztuki rozumianej w jej uniwersalnym kontekście tkwi bowiem zawsze element m i ł o ś c i. Jego brak sprawia, że powstaje dzieło „zimne”, jakkolwiek doskonały byłby artyzm wykonania obrazu, rzeźby czy filmu. Dzieło tworzone con amore wyraża afirmację człowieka, świata i – w ostatecznej perspektywie – afirmację Stwórcy; te same wartości stają się udziałem wrażliwej percepcji dzieła powstałego z intencją piękna. Kardynał Martini w cytowanym wyżej tekście *Jakie piękno zbawi świat?* ukazuje horyzont teologiczny tak pojętej estetyki. Horyzont ów wyznacza miłość zbawcza Jezusa Chrystusa, będąca „Piękmem, które promieniuje i przemienia tego, kogo dotyka”.

Twórczość Zbigniewa Herberta jest w pewnym specyficznym sensie wyrazem takiej właśnie koncepcji sztuki. Można ją nazwać koncepcją klasyczną: poezja Herberta dotyka najwrażliwszych – egzystencjalnych – treści życia człowieka, narodu lub kultury, od strony formy opierając się na tradycyjnie rozumianym pięknie wydobywanym ze słowa.

Szczególną jednak cechą tej twórczości stanowi j e d n o ś ć postawy i kreacji poety. Debiutował w trudnym dla twórczości afirmującej prawdę roku 1950. Pisał do końca życia, do 1998 roku – i do końca pozostał wierny owemu klasycznemu posłannictwu sztuki, które nakazuje pięknu, aby nie tylko było piękne, ale aby pomagało człowiekowi żyć, aby było dobrem i prawdą rozświetlającymi szlak ludzkiego zbawienia. Herbert był prawdziwie księciem niezłomnym społeczności polskich pisarzy i intelektualistów. W okresie rządów komunistycznych znajdował się w tej garstce pisarzy niepokornych, którzy nie pozwolili, by dotknęła ich „hańba domowa”. Jak oni, płacił za to: trudnościami publikacji (pierwszy tomik wydał dopiero w 1956 roku), milczeniem krytyki, niechęcią większości środowiska, traktującego jako rzecz zupełnie naturalną oddawanie władzy lenna duchowego w zamian za przywileje społeczne lub materialne. W dekadzie po „okrągłym stole” zdecydowanie sprzeciwiał się literackim i etycznym fałszom dyktowanym przez nowy kanon poprawności politycznej. Głośna sprawa z epitetem „komunistyczny Dyzma” oraz konflikt z Czesławem Miłoszem na tle traktowania odrębności państwowej Polski w okresie PRL były najbardziej wyraźnymi społecznie i politycznie dowodami niezmienności aksjologicznej Herberta i jego twórczości. Niezmienna była też niesprawiedliwość, jaką płacono mu za to, że ważył się być wiernym. Recenzje w najwyżej nakładowych pismach pisane „półgębkiem”, jakby przez zaciśnięte zęby; faktyczny brak promocji tej jednej z najznamienitszych poezji języka polskiego w ogóle, nie tylko wieku dwudziestego („szkoda, że za życia mało

znany na Zachodzie” – pisał po śmierci Herberta Władimir Bukowski¹); mało kto wie, iż od połowy lat sześćdziesiątych był około dwudziestu razy na liście do literackiej nagrody Nobla, tajemnicą poliszynela były w czasie ostatniej dekady intensywne zabiegi kreatorów norm poprawności politycznej w Polsce, aby nagrody tej nie otrzymał.

Źródła postawy moralno-twórczej Zbigniewa Herberta są jednak o wiele głębsze niż wskazywałyby na to wzbudzające rezonans publiczny fakty społeczno-polityczne. Jednym z tych źródeł jest w a r t o ś ć o j c z y z n y i n a r o d u. Jego miłość do Polski, rozumiana i odczuwana w sposób odległy od potocznie pojmowanego nacjonalizmu, czerpała swoją siłę z zakorzenienia w najlepszej tradycji narodowej – zgodnej z uniwersalnym dziedzictwem dziejowym: „Hektora, Gilgamesza, Tukidydesa”. (Warto przeczytać w tym kontekście publikowany w niniejszym numerze tekst Zdzisława Najdera.) Autor *Przestania Pana Cogito* – Lwowianin posiadający pradziadka Szkota oraz wnuk Ormianki – uderza w najsłabsze tony patriotyzmu wyczuwalne jedynie przez ucho osłuchane w brzmieniu wartości ogólnoludzkich.

Owa delikatność strun poetyckich i powściągliwość w wyrażaniu tego, co dla każdego z nas najbardziej własne, intymne i nieprzekazywalne (miłość ojczyzny, przeżywanie piękna, erotyzm), przejawia się u Herberta przede wszystkim w wierszach, które wprost nazwać można r e l i g i j n y m i (niekiedy: metafizycznymi). Jedynie grubość narzędzi metodologicznych lub stereotypowość pojęć i emocji, wiązanych przez niektórych krytyków i teoretyków literatury z ekspresją wiary, każe im mówić o takich utworach, jak *De profundis*, *Pan Cogito opowiada o kuszeniu Spinozy*, *Domysły na temat Barabasa* czy niezwykle cykl pod tytułem *Brewiarz*, w kategoriach „pustego nieba”, „agnostycyzmu” czy „etyki bez uzasadnień”. W istocie religijna poezja Herberta zawiera wyznanie wiary – wiary chrześcijańskiej – będące próbą uchwycenia wyrazu i odpowiedzi Transcendencji na żywioną głęboko przez człowieka współczesnego potrzebę zawierzenia Bogu. Ściszym głosem, tłumiąc bezpośredniość patosu i starając się przewyciężyć w milczeniu – siłą piękna – niszczące cierpienie towarzyszące zarówno egzystencji, jak i trawiącej go chorobie, Poeta śpiewa afirmację Boga najbliższego człowiekowi. Afirmację Chrystusa stojącego w cieniu, widocznego na drugim planie dzisiejszych środków przekazu i „pomniejszonego” perspektywą „wielkich spraw światowych” – przecież jednak dostarczającego ostatecznego sensu i nadziei na zbawienie.

Herbertowi wystarcza do budowania tej teologii piękna „kilka czystych taktów” – jak ukazuje w swoim artykule zamieszczonym poniżej Tomasz Garbol, młody adept polonistyki KUL. Niebo Herberta nie jest puste. Jadwiga Puzynina w ścisłej a zarazem kunsztownej analizie jego utworów unaocznia, iż jest to niebo zbudowane z sugestii, pytań, wahań, a nawet wątpliwości, niebo,

¹ „Tygodnik Solidarność” 1998 nr 32, s. 13.

w którym radość, nadzieję na miłość i wyzwolenie przynoszą raczej dobre uczynki spełniane w ukryciu i skierowana „do góry” niepewna modlitwa wypowiedziana czystym sercem i często tylko „własnymi słowami” – niż entuzjastyczny krzyk bijący wzwyż przy akompaniamencie trąb i łopotu feretronów. Taka estetyka sacrum i „teologia piękna” świadczą o Zbigniewie Herbercie jako o jednym z tych niewielu twórców, którzy posiadli dar przybliżenia „Boga prawdziwego” współczesnemu człowiekowi.

W. Ch.